Data publikacji: 2007-01-16

Legendy i podania

POETA ZE ŚWIECĄ

W starych zamkach , pałacach, dzwonnicach i młynach, według lokalnych legend, miano obserwować

pojawiające się duchy. Były to rzekomo najczęściej postaciE właścicieli, albo ludzi związanych w przeszłości z owymi obiektami.
Czy faktycznie obserwowano te zjawiska?
Odpowiedź jest trudna, ale intrygująca. Swoista moda na upiorne legendy zapanowała już w romantyzmie. Zamki owiane tajemnicą i nawiedzane przez gości z zaświatów wzbudzały powszechne zainteresowanie. Dziś można zauważyć podobne zapotrzebowanie na sensacyjne opowieści. Zamek "zaludnia się" duchami, przywołuje się postacie zapomniane, odkurza legendy, ożywia bohaterów historycznych. Ale przecież, powie ktoś, opowieści nie powstały z niczego. Faktycznie. Zbyt wiele dziwnych zjawisk powtarza się w pewnych okolicach.

Kilka niezwykłych i zagadkowych sytuacji zaobserwowano w Rytwianach. Wieś ma bogatą historię. Pierwsze zapiski o Rytwianach pochodzą z XIII wieku. Wymienia się w nich nazwisko pierwszego właściciela Piotra Bogoriii Skotnickiego. W XV wieku arcybiskup gnieźnieński Wojciech Jastrzebięc wzniósł w rozlewiskach rzeki Czarnej zamek obronny w stylu gotyckim. Budowla posiadała trzy kondygnacje, mosty zwodzone, wieżę obronną i kaplicę. Dwa wieki później osiadł w Rytwianach Łukasz Opaliński (1612-1662) poeta, polityka, bibliofil, założyciel słynnej biblioteki w Rytwianach i autor pierwszego polskiego czasopisma "Merkuriusz Polski". Po latach zamek podupadł, stał się ruiną, rozbierano mury na budulec, aż jesienią 1859r. prawie przestał istnieć.
Bywa jednak jeszcze dzisiaj, iż w ciemne bezksiężycowe noce budowla pojawia się w całej swej okazałości. Wiosną 1915r. w Rytwianach przebywał wojskowy patrol Pierwszej Brygady Legionów. Dowódca był pierwszy raz w tych stronach, ale był wojakiem doświadczonym, polecono mu więc przeprowadzenie rozpoznania terenu. Nocą patrol znalazł się pod murami zamku. Załomotano do bramy, ale nikt nie kwapił się z jej otwarciem, żołnierze więc odjechali. Sporządzono notatkę o niegościnności właścicieli zamku. Wojacy nie chcieli uwierzyć, że właścicieli nie ma już wśród żywych. Niebawem, bo już w maju, doszło do szeregu walk, a o relacji zapomniano.
Istnieją opowieści, bardzo popularne we wczesnym okresie międzywojennym, iż w pojawiającej się budowli widnieje jaśniejsza plamka okna, w którym pojawia się sylwetka mężczyzny ze świecą w ręku.
To Łukasz Opaliński - głosi opowieść.
Jeszcze jedna relacja, już powojenna, godna jest przytoczenia.- Zobaczyłem nocą ścianę zamku - opowiada mieszkaniec wsi Wiśniówka, oddzielonej lasem od Rytwian - w oknach pogaszone światła.

Ta ściana lekko drgała, falowała. Odniosłem wrażenie, że jest to poruszany podmuchem wiatru wielki ekran, na którym ktoś wyświetla film. Postanowiłem przyjrzeć się temu bliżej. Ruszyłem przed siebie, ale ciągle szedłem wzdłuż muru zamku, który miałem przed sobą w odległości kilkunastu kroków. Dotarłem pod druga ścianę bez przeszkód i strachu, spojrzałem w górę i w jednym oknie

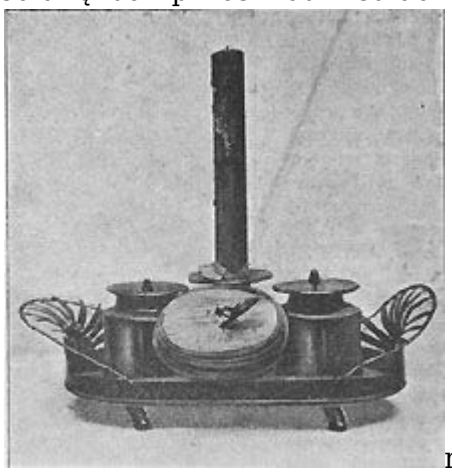

dostrzegłem sylwetkę mężczyzny z płonącą świecą. Słyszałem o pojawiającym się widmie, ale nigdy nie dawałem wiary podobnym opowieściom. Wtedy poczęły dygotać mi nogi, wykonałem kilka niezgrabnych ruchów i znalazłem się w rowie z wodą. Nie był głęboki, nie sięgał nawet kolan, wyskoczyłem, otrzepałem spodnie i buty, rozejrzałem się wokół, nie dostrzegłem już nic, zupełnie nic...

Zbigniew Wł. Frączek
Dzięki uprzejmości P. Andrzeja Wawrylaka ze Staszowa

TATARY

Nawet nie wszyscy mieszkańcy Rytwian wiedzą, że niewielki obszar ziemi i kilka zabudowań obok, usytuowanych na niewielkim wzgórzu po zachodniej stronie ruin zamkowych, zwie się Tatarami. Od jak dawna i skąd się wzięła taka nazwa, nie pamiętają nawet najstarsi. To, co opisuję działo się w I połowie XIX wieku. Wtedy to, ruiny zamku były o wiele większe, bo dopiero nieco później za Potockich zaczęto je rozbierać w celu pozyskania cennego budulca.

Zaczęło się w piękną majową noc, kiedy to długo w wieczór śpiewano przy krzyżach i kapliczkach pieśni religijne, tak zwane "majówki". Po skończonym śpiewaniu, pewna zakochana para szukała ustronnego miejsca. Skierowali się w ruiny i zarośla zamkowe. Czas mijał szybko, było około północy, gdy tych dwoje usłyszało rżenie koni , nawoływania, coś jakby wydawanie komend w obcym języku i szczęk żelaza. Młodzi zaczęli pilnie nasłuchiwać. Spostrzegli, że to "coś" dzieje się nie w samych ruinach, lecz za strugą, która przepływa obok obwarowań zamkowych zachodniej strony. Wystraszeni, ale ciekawi, zbliżali się do miejsca, gdzie odgłosy były najbardziej wyraźne. Słyszeli

nawet jęki ludzi. Po okolo pół godzinie wszystko ucichło.

Następnego wieczoru opowiedzieli o swej przygodzie i większa grupa udała się w to miejsce. Nic się jednak nie wydarzyło. Zaczęto się z nich wyśmiewać, ale ktoś zapamiętał., że działo się to 14 maja. Czekano rok. Wtedy wiele osób udało się do ruin na spotkanie z duchami. Nie zawiedli się, wszystko powtórzyło się tak, jak przed rokiem. Tak było przez następne kilka lat. Nigdy jednak nie widziano ani koni ani też ludzkich postaci. Tłumaczono to w ten sposób, że dawno, dawno temu jakiś czambuł tatarski oderwał się za łupami od głównych sił, i tu w Rytwianach napotkał oddział rycerstwa polskiego i został pobity. Duchy poległych Tatarów wyprawiały nocne harce tęskniąc za ojczyzną. Teraz duchów nie ma, pozostała jedynie nazwa Tatary.

Władysław Switek Rytwiany
Dzięki uprzejmości P. Andrzeja Wawrylaka ze Staszowa

ŁUNA BEZ OGNIA

Działo się to w roku 1899r. . Dlaczego ta data? Otóż opowiadający mówili, że był to rok po zorganizowaniu przy nieistniejącej cukrowni (spłonęła w 1924r.) Ochotniczej Straży Pożarnej w Rytwianach, a straż powstała w roku 1898 .To, nigdy nie wytłumaczone zjawisko pierwsi zauważyli dwaj nocni stróże zatrudnieni w cukrowni. Pewnej letniej nocy spostrzegli oni wielką łunę nad, jak im się wydawało oddalonym o kilka kilometrów Sichowem, gdzie, podobnie jak w Rytwianach, znajdował się także majątek Radziwiłłów. Zbudzono naczelnika straży. A. Zagrzejewskiego, który mieszkał w pobliżu cukrowni. Ten, po krótkiej obserwacji zdecydował o wszczęciu alarmu. Włączono syreny (parowe), a że straż działała sprawnie, w krótkim czasie, przy blasku pochodni, wyruszyło kilka par koni, dwie ręczne sikawki i inny sprzęt w kierunku pożaru, aby udzielić sąsiedzkiej pomocy. W miarę zbliżania się do domniemanego pożaru, robiło się coraz jaśniej (widniej) tak, że zbędne już były zapalone wcześniej pochodnie. Po ujechaniu kilku kilometrów , konie stały się bardzo płochliwe, odbijały w lewo, w prawo, ale wprawni furmani potrafili je opanować i tak dojechano do Sichowa.

Jakież było zdziwienie, kiedy przed parkiem otaczającym pałacyk spotkano stróża i rządcę majątku sichowskiego, którzy oznajmili przybyłym strażakom , że owszem, oni też obserwują łunę nad Rytwianami , właśnie tam skąd przybyła straż. Nie chcieli ich słuchać. Wszyscy z parku pośpiesznie wyszli na otwartą przestrzeń, gdzie widoku nie zasłaniały drzewa ani zabudowania. Rozglądano się pilnie we wszystkie strony i nie zauważono nigdzie choćby

najmniejszego odblasku na bezchmurnym nocnym nieboskłonie. Od pożaru (którego nie było) wracano już wolniej, zawzięcie dyskutując, co też to mogło być. Niestety, tego niecodziennego zjawiska, które obserwowało kilkudziesięciu ludzi, nigdy nikt logicznie nie potrafił wyjaśnić. Przekazywano go z pokolenia na pokolenie. Taka legenda przetrwała aż do czasów dzisiejszych.

Władysław Switek
Rytwiany
Dzięki uprzejmości p. Andrzeja Wawrylaka ze Staszowa

PRZYGODA Z GĘSIĄ

Kiedy mój dziadek opowiadał nam różne przygody nie wszyscy mu wierzyli, choć przysięgał, że to co nam opowiadał jest prawdą, a był człowiekiem mocno religijnym.
W kawalerkę do swej przyszłej żony dziadek chodził z miejscowości oddalonej od Rytwian około 10 km. Kiedy tylko pozwalała pogoda, chodził na skróty polnymi miedzami i dróżkami. Tak było i te

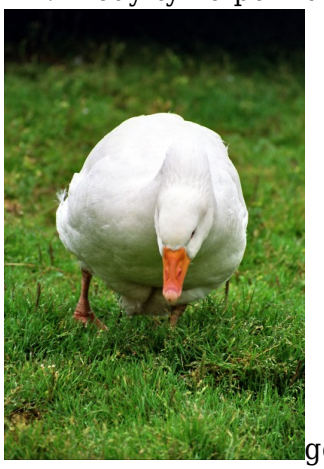

go wczesnego letniego wieczoru. Idąc pośród pól i łąk zauważył gęś, która spokojnie skubała trawę. Zdziwiło go to, ale pomyślał, że oderwała się ona od stada, a że do najbliższych zabudowań było daleko, postanowił ją zabrać. No i stało się.
Gęś z każdym kilometrem stawała się coraz cięższa, ale dziadek do ułomków nie należał i był wytrwałym piechurem, więc przekładał gęś z ręki do ręki i szedł wytrwale do przodu. Kiedy miał już niespełna kilometr do zabudowań narzeczonej, gęś była już tak ciężka, że niepodobieństwem było ją dźwigać dalej.
Zdenerwowany rzucił ją do przepływającej w pobliżu rzeki Czarnej. Wtedy usłyszał głośny, ni to ludzki śmiech, ni to rżenie konia, ujrzał jasność, jakby nagle pojawiła się błyskawica, zerwał się silny wiatr targając zaciekle drzewami i po chwili wszystko ucichło i znikło. Wystraszony dziadek przeżegnał się, czym prędzej się stamtąd oddalając i przysięgając sobie , że to miejsce, gdzie znalazł niewinnie wyglądającą gęś będzie omijał z daleka.

Władysław Switek
Rytwiany
Dzięki uprzejmości P. Andrzeja Wawrylaka ze Staszowa